

MAREK ZIÓŁKOWSKI

W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ WYBORÓW 4 CZERWCA*

W dwudziestą rocznicę pojawiło się tak wiele wypowiedzi na temat wyborów 4 czerwca 1989 r., że trudno dodać coś niestandardowego czy odkrywczego, coś, co nie byłoby jedynie okolicznościowym przemówieniem rocznicowym ani też tekstem podporządkowanym względem bieżącej polityki.

Wybory 4 Czerwca są istotną datą w historii Polski i całego regionu, ale są także dla wielu z nas ważnym osobistym przeżyciem i doświadczeniem, wydarzeniem, które wpłynęło na nasze własne losy. Toczy się też dzisiaj wokół tej daty debata polityczna. Sam chciałbym popatrzeć na 4 Czerwca w podwójnej roli: jako świadek i uczestnik ówczesnych wydarzeń oraz jako socjolog.

* * *

4 Czerwca jest to oczywiście jedno umiejscowione w czasie wydarzenie – zwycięskie wybory i poprzedzająca je wyborcza kampania. Jest to jednak tylko element całego ciągu wydarzeń. Ciągu wydarzeń, które zwykle oddaje się nazwami polskich miesięcy – Czerwiec, Październik, Marzec, Grudzień, Sierpień. Ich daty roczne, które wszyscy znamy, wryte są na poznańskim pomniku, na Poznańskich Krzyżach. Dla wyborów 4 Czerwca najważniejszy był Sierpień i niepowtarzalny okres pierwszej „Solidarności”, po którym nastąpił tragiczny grudzień 1981, a potem Okrągły Stół i pamiętny czerwiec 1989 r.

To są tylko daty polskie; dodać do nich należy także inne daty: czerwiec 1953 r. w NRD, tragiczny listopad 1956 r. na Węgrzech, praska wiosna i sierpień 1968 w Czechosłowacji, a wreszcie rozpoczęta właśnie 4 czerwca w Polsce „jesień ludów”, ów *annus mirabilis* – cudowny rok 1989.

Były to wszystko kolejne elementy społecznego protestu przeciw narzuconemu Europie Środkowej siłą rosyjskich bagnetów i przy przyzwoleniu zachodnich aliantów systemowi społecznemu, a jednocześnie statusowi prowincji imperium. Protestu, który zakończył się sukcesem; sukcesem, którego najpierw Sierpień 1980 r., a potem wybory 4 Czerwca były elementem podstawowym, o najdonioślejszych historycznie konsekwencjach, a przy tym wspaniałym jako życiowe doświadczenie całego pokolenia.

* Jest to tekst przemówienia wygłoszonego w czasie spotkania rocznicowego, które odbyło się w Poznaniu w Auli Akademii Muzycznej 4 czerwca 2009 r. Generalnie problematyce przemian w Polsce po 1989 r. poświęcono monograficzny zeszyt (2/2009) „Ruchu Prawniczego, Ekonomicznego i Socjologicznego”, zatytułowany: *Dwudziestolecie transformacji w Polsce*; znalazł się w nim m.in. artykuł Z. Woźniaka *Pokłosie Okrągłego Stołu* (przyp. Redakcji).

Przypomnijmy sobie naturę starego systemu. Pod względem geopolitycznym Polska była częścią Europejskiej prowincji imperium ze stolicą w Moskwie. Wewnętrznie był to autorytarny, niedemokratyczny system sprawowania władzy, którego istotą było dążenie do centralizacji, upaństwowienia i sprawowania odgórnej kontroli nad wszystkimi dziedzinami życia społecznego, poczynając od gospodarki aż do edukacji, kultury i mediów. W systemie tym od rządzonego przez komunistyczną partię państwa zależały te dziedziny, które w innych, demokratycznych społeczeństwach są odeń w mniejszym lub większym stopniu niezależne. Warto podkreślić, że owo dążenie do odgórnego kontrolowania całego życia społecznego sprawiło, że państwo postrzegane było jako „strona” we wszystkich konfliktach społecznych. W konsekwencji podstawowym konfliktem społecznym w tym systemie był konflikt pomiędzy grupą rządzącą a resztą społeczeństwa, konflikt tworzący dychotomiczny podział „my – oni”.

Do momentu wykorzystania prostych rezerw system ekstensywnej gospodarki „socjalizmu realnego” był względnie skuteczny. Po wyczerpaniu się owych rezerw, na przełomie lat 60. i 70., system natrafił jednak na nieprzekraczalne bariery rozwojowe. Wstrząsany był cyklicznymi kryzysami, które miały swe źródło zarówno w niewydolnej gospodarce, jak i w niemożności sprostania oczekiwaniom społecznym, rozbudzonym ideologicznymi obietnicami. Wystarczy przypomnieć sobie puste sklepy, kartki, kolejki. Od początku lat 70. system żył na kredyt, który III Rzeczpospolita spłacała przez dziesięciolecia i nadal spłaca.

Stosunek społeczeństwa do systemu w ciągu całych 45 lat jego funkcjonowania w Polsce był historycznie zmienny i środowiskowo zróżnicowany. Niezależnie od dość znacznego w pewnych okresach i środowiskach stopnia przyzwolenia dla starego systemu zarysować można pewną chronologię i logikę jego odrzucenia. (1) System był w zasadzie zawsze odrzucany ze względów historyczno-symbolicznych – jako przyniesiony z zewnątrz, dający Polsce niepełną jedynie suwerenność, związany z utratą znacznej części terytorium kraju. (2) Odrzucano go także jako system polityczny, system sprawowania władzy. Było to już widoczne w latach 60., po przejściowej większej nieco akceptacji w okresie polskiego października. (3) Był on dłużej akceptowany jako system gospodarczy, trwało to aż do kryzysu drugiej połowy lat 70., kiedy to po prostu stał się niewydolny i został odrzucony jako nieefektywny system produkcji. (4) Znacznie dłużej jednak – w pewnym stopniu dla niektórych kategorii społecznych aż do dzisiaj – był on akceptowany jako system dystrybucji i opieki społecznej, dając gwarancję pracy i bytu na minimalnym przynajmniej poziomie. (5) Stary system, wytwarzając przekonanie, że wszystko ostatecznie zależy od władzy, a bardzo niewiele ode mnie, pozostawił jednak także po sobie fenomen „wyuczony bezradności” i „uogólnionego zrzeczenia się odpowiedzialności” zarówno za państwo, jak i – co może nawet ważniejsze – za własne życie. Pozostałości owej funkcjonującej jeszcze długo mentalności *homo sovieticus* traktować można jako swoistą zemstę systemu zza grobu.

* * *

Rosnące społeczne niezadowolenie doprowadzało do kolejnych fal społecznego protestu, z których najważniejszy i ostatecznie zwycięski zaczął się w Sierpniu 1980 r. Jednym z najważniejszych doświadczeń powstałej wówczas „Solidarności” był jej zbiorowy, wspólnotowy charakter. Nie chodziło już o to, że „mnie samemu system się nie podoba”, że prywatnie w gronie znajomych go krytykujemy. Polacy uświadomili sobie, że inni myślą tak samo, że im wszystkim system nie odpowiada. W tym uświadomieniu sobie wspólnoty przekonań olbrzymią rolę odegrała wizyta Papieża w 1979 r., kiedy to 10 milionów ludzi wyległo na trasę papieskiej pielgrzymki, a ponad milion na Placu Zwycięstwa w Warszawie i wiele milionów przed telewizorami usłyszało papieskie wołanie: „Niech zstąpi duch Twój i odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi”. W Sierpniu 1980 r. Polacy przeszli od wspólnoty przekonań do wspólnoty działań. O ile w 1968 r. protestowała inteligencja i młodzież studencka, a w 1970 r. samotnie robotnicy Wybrzeża, o tyle istotą „Solidarności” była współpraca różnych środowisk, w tym zwłaszcza robotników wielkoprzemysłowych i budżetowej inteligencji, do których dołączyli polscy rolnicy. Od tego momentu przeciwstawienie „Ja kontra system” zamieniło się w przeciwstawienie „My kontra system”.

Społeczny ruch „Solidarności” zbudował prawdziwie masową ogólnonarodową wspólnotę. Była to – po pierwsze – wspólnota protestu. Łączyły się w niej w sposób niepowtarzalny różne nurty, formułujące różne żądania ekonomiczne, polityczne, narodowe i chrześcijańskie. Upominano się o godność i prawa człowieka. Domagano się poprawy warunków pracy i warunków życia. Żądano wolności słowa i swobód demokratycznych, domagano się pełnej niepodległości, rozwoju samorządności, swobód religijnych. Ta wielość łączących się nurtów była często trudna do pojęcia dla obserwatorów zewnętrznych. Popierały ją też i podziwiała z bardzo różnych względów zupełnie przeciwstawne środowiska polityczne na Zachodzie: antykomunistyczni konserwatyści, liberalni demokraci i zwolennicy rozbudowy społeczeństwa obywatelskiego, anarchiści i trockiści, chrześcijańskie i komunizujące związki zawodowe.

„Solidarność” była – po drugie – wspólnotą budowania. Budowania niezależnego od władzy życia społecznego, rozmaitych instytucji społeczeństwa obywatelskiego, rozpoczynając od genialnej idei działania nie jako partia polityczna, która dąży do przejęcia władzy, ale jako związek zawodowy, który próbuje kontrolować władzę od dołu. W doświadczeniu „Solidarności” najczęściej podkreślało się elementy społecznego protestu, walki i martyrologii, wydaje się tymczasem, że jeszcze istotniejsze było owo wspólne oddolne budowanie nowej rzeczywistości, podstaw nowego życia społecznego. „Solidarność” rozpoczęła „samoograniczającą się rewolucję”, była przedziwną i wspaniałą mieszanką odwagi i rozwagi, realizmu i wiary w ideały. Pokazała, że można mieć ideały i próbować je skutecznie realizować.

Po Sierpniu i 16 miesiącach wolności nastąpiła noc stanu wojennego, ale potem pojawiły się kolejne kryzysy i wreszcie władza zdecydowała się na kompromis z przedstawicielami opozycji. W owych latach 1982-1989 okazało się, że władza autorytarna, dysponująca wszelkimi metodami przymusu, może

przejściowo zgnieść protest społeczny, ale wobec całościowego kryzysu systemu może być zmuszona ustąpić żądaniom społecznym. Toczą się ciągle spory, co było główną przyczyną powolnego schyłku i wreszcie upadku całego systemu: niewydolność technologiczno-militarna, zapaść ekonomiczna, pierestrojka Gorbaczowa czy właśnie polski Sierpień 1980. To jednak właśnie w Polsce zaczęło się ostateczne obalenie całego systemu, niezależnie od roli wszystkich późniejszych wydarzeń i procesów. Jest zatem wiele racji w wielokrotnie powtarzonym stwierdzeniu, że Lech Wałęsa, przeskakując mur w Gdańsku w 1980 r., zainicjował proces prowadzący do zburzenia muru w Berlinie dziewięć lat później. A pomiędzy Gdańskiem i Berlinem jednym z najważniejszych wydarzeń były wybory 4 czerwca.

* * *

Wybory 4 czerwca były bezpośrednią konsekwencją Okrągłego Stołu. Wokół idei Okrągłego Stołu, jego historycznej roli i historycznych konsekwencji toczy się od wielu lat ożywiona debata. Sam uznaję Okrągły Stół za olbrzymi sukces, i to nie tylko dlatego, że reprezentuję Senat, a więc tę instytucję demokratycznego porządku Rzeczypospolitej, która powstała dzięki Okrągłemu Stołowi. Był on olbrzymim sukcesem w tym momencie, w którym się odbywał – w pierwszych miesiącach 1989 r., kiedy we wszystkich krajach obozu stacjonowały wojska radzieckie, a o zerwaniu żelaznej kurtyny można było co najwyżej marzyć. Obradując w niezmiernie trudnych warunkach Okrągły Stół przyczynił się walenie do zmiany tych warunków, a dzięki niemu wszystko, co dokonywało się potem, było już znacznie łatwiejsze. Można powiedzieć, że rozpoczęcie obrad uruchomiło proces, który nabrał własnej dynamiki, a żadna strona nie przewidziała tego, do czego doprowadzi Okrągły Stół i to wszystko, co zaczęło się w Polsce w czasie wyborów i po wyborach 4 czerwca 1989 r. Dziedzictwo Okrągłego Stołu i wyborów jest w mojej opinii przedziwną mieszanką zrealizowanych zamierzeń i spełnionych obietnic, ale także straconych złudzeń, a przede wszystkim niezamierzonych i niespodziewanych konsekwencji, przekraczających niejednokrotnie wyobraźnię jego uczestników.

* * *

W czasie obrad najważniejszym postulatem opozycji była na początku legalizacja „Solidarności”. Dopiero potem, po zakończeniu obrad, najistotniejsze stawały się stopniowo przewidziane na czerwiec wybory. Przypomnijmy sobie atmosferę tamtych miesięcy. Stronę solidarnościową rozdzierały sprzeczne uczucia. Zdawano sobie sprawę z jedynie częściowo demokratycznego charakteru tych wyborów, ale i obawiano się, że społeczeństwo da się oszukać, że władza jeszcze raz przerwie proces demokratyzacji. Niekiedy towarzyszyła temu niewiara w to, że nam się uda, stopniowo jednak rósł entuzjazm coraz liczniejszej grupy zapaleńców angażujących się w kampanię wyborczą Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”.

W okresie kampanii i wyborów najważniejszym doświadczeniem było jednak dominujące poczucie wspólnoty olbrzymiej części społeczeństwa, przekonanie,

że jesteśmy razem, że mamy wspólny cel i wspólne wartości. Mojemu pokoleniu trzy razy dane było przeżyć takie poczucie wspólnoty: w czasie pierwszej wizyty Ojca Świętego w 1979 r., w Sierpniu i okresie „pierwszej Solidarności” lat 1980-1981 i wreszcie właśnie tamtej wiosny 1989 r.

Pojawiały się oczywiście debaty co do taktyki. Niektórzy przedstawiciele opozycji nie chcieli kandydować w tych półwolnych wyborach, inni namawiali do wystawienia kilku list, co miało być w ich opinii bardziej demokratyczne. Ustalanie kandydatów do Sejmu i Senatu z jednej wspólnej listy Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” rodziło w wielu miejscach rozmaite wątpliwości. Były też bardzo różne przewidywania co do wyników wyborów. Władza spodziewała się znacznej ilości mandatów w otwartej, 161-osobowej puli miejsc do Sejmu oraz w wyborach do Senatu, była też absolutnie pewna, że bez żadnych problemów przejdzie lista krajowa. Wszyscy chyba pamiętamy zadufanie towarzysza Czarzastego, ale podobnie sądziło wielu innych przedstawicieli władzy. Także i po stronie „Solidarności” prawie do końca nie spodziewano się takich wyników.

Z kampanii wyborczej wielu z nas ma wspaniałe wspomnienia. Owa wiosna 1989 r. była szczególna, gorąca, pracowita, pełna solidarności i nadziei. Kampania i wybory 4 czerwca nie odbywały się w Gdańsku czy Krakowie, odbywały się wszędzie, w całej Polsce. Sztuczny i niefortunny wydaje się zatem spór, gdzie należy ową rocznicę obchodzić. Jeżeli miałyby to być w jednym centralnym miejscu, to miejscem tym mogłyby być na pewno Plac Zwycięstwa w Warszawie, tym bardziej że XX rocznica wyborów zbiega się z XXX rocznicą wypowiedzianych na tym właśnie placu pamiętnych słów Papieża. Kampania wyborcza była dziełem wielkiej masy ludzi, którzy w każdym mieście i w każdej wsi pracowali na rzecz Komitetu Obywatelskiego. Ta praca i zaangażowanie były przy tym znacznie łatwiejsze w wielkich miastach, twierdzach „Solidarności”, w obecności wielu zagranicznych obserwatorów. Znacznie trudniej natomiast było zdecydować się na obywatelską przedwyborczą aktywność w mniejszych ośrodkach, gdzie stare układy wydawały się znacznie trwalsze, a wszyscy występujący przeciw nim mogli narazić się na późniejsze represje. Stąd właśnie terenowi działacze Komitetów Obywatelskich zasługują na największe uznanie.

Kampania wyborcza prowadzona była także w naszym regionie, we wszystkich pięciu ówczesnych województwach Wielkopolski. W Poznaniu Komitet Obywatelski „Solidarność” powołany został 16 kwietnia 1989 r. w gościnnym klasztorze O.O. Dominikanów. Komitet liczył 69 osób i wsparty był na trzech filarach: NSZZ „Solidarność”, NSZZ „Solidarność” Rolników Indywidualnych oraz Klubie Inteligencji Katolickiej. Kampania wyborcza była bardzo krótka, trwała zaledwie 50 dni. W jej toku Komitet Obywatelski bardzo szybko pokazał swoją siłę, już nie jako kolejną strukturą dość słabej wtedy jeszcze opozycji, ale jako ośrodek aktywnych i zaangażowanych działań, budujący szybko sieć gminnych i osiedlowych komitetów obywatelskich, wsparty entuzjazmem kilkuset wolontariuszy pomagających w jego kampanii.

Niech mi wolno będzie przywołać kilka moich własnych wspomnień. Pamiętam początkową niepewność zamieniającą się w szybko w nadzieję. Pamiętam entuzjazm w wypełnionej po brzegi Poznańskiej Arenie, w której nie

zmieścili się wszyscy chętni. Pamiętam mojego Ojca, który wszedł wtedy na scenę ze swoją wnuczką, a moją dziesięcioletnią wówczas córką, mówiąc, że to wszystko robimy po to, aby ona i jej rówieśnicy mogli żyć w wolnym kraju. Pamiętam poczucie narastającej siły Komitetu, gdy w dniu 1 maja kilka tysięcy osób przemaszzerowało z Fary na Plac Mickiewicza, działania w sztabie Komitetu w Zamku, zbieranie podpisów i roznoszenie ulotek. Jako reprezentujący KO, członek Okręgowej Komisji Wyborczej, pamiętam kolejne zaskoczenia władzy, gdy jej przedstawiciele nie mogli wprost uwierzyć w ilość zebranych na kandydatów „Solidarności” podpisów. Pamiętam wreszcie sam dzień wyborów, reakcję na kolejne rezultaty, najpierw z zagranicy, a potem z obwodów zamkniętych, upadek listy krajowej.

Wszyscy pamiętamy ów cudowny dzień zwycięstwa i nieporadne komentarze przedstawicieli przerażonej władzy. Wszyscy znamy wyniki. W całej Polsce w wyborach uczestniczyło około 62% uprawnionych, z czego ponad dwie trzecie głosowało na kandydatów Komitetu Obywatelskiego „Solidarność”, który obsadził wszystkie demokratycznie wybierane miejsca w Sejmie (161) oraz 99 na 100 miejsc w wolnych wyborach do Senatu.

Trzeba wyraźnie podkreślić, że wybory były przede wszystkim protestem, odrzuceniem komunistycznego systemu i wyrażeniem woli zmiany sytuacji. Były one przekroczeniem, czy nawet swoistym społecznym odrzuceniem kompromisu zawartego przy Okrągłym Stole. Naprawdę rację miała Joanna Szczepkowska – 4 czerwca upadł w Polsce komunizm. Tak, komunizm tego dnia upadł, choć nikt tak naprawdę nie wiedział, co się z tego upadku ostatecznie wyłoni.

Porównać warto społeczne oczekiwania z roku 1989 i społeczną ocenę wyników wyborów po 20 latach. W badaniach z maja 1989 r. dużych zmian w Polsce spodziewało się 41% respondentów, zmian niewielkich, niezmieniających systemu – 44%. W sierpniu 1989 r., wyniki wyborów za ważne wydarzenie uznało 49% respondentów, ale tylko 38% uznawało je za przełom polityczny, 64% odpowiadających wyrażało nadzieję i wiarę w lepsze jutro, ale u 32% z nich dominowała obawa i lęk o przyszłość. W ówczesnej sytuacji geopolitycznej Polacy spoglądali na przyszłość kraju raczej z nieufnością (58% sądziło, że nie wiadomo, co z tego wyniknie), niż z przekonaniem, że będzie dobrze (które wyrażało 39% respondentów). Po dwudziestu latach, jak pokazują badania CBOS-u z maja 2009 r., jako przełom i punkt zwrotny dla zmian w Polsce 54% respondentów uznało obrady Okrągłego Stołu, a 26% wybory 4 czerwca. Natomiast na pytanie: „Z jakimi uczuciami przyjął Pan(i) wówczas zwycięstwo strony solidarnościowej?”, w odpowiedzi (można było wymienić dwa uczucia) podawano, że z nadzieją – 51%, z radością, entuzjazmem – 24%, z niepokojem – 10%, z zaskoczeniem – 7%, z rozczarowaniem – 4%. 4 Czerwca był więc zwycięstwem nadziei, trochę niepewnej i trochę zatrwożonej nadziei.

* * *

Przyjrzyjmy się przez chwilę temu, co zdarzyło się później, po wyborach. Zmiana systemu i przejęcie władzy w Polsce w 1989 r., zgodnie ze znaną typologią Samuela Huntingtona, nie była ani odgórną reformą, ani też oddolną

rewolucja, ale porozumieniem elity dotychczasowej władzy z elitą demokratycznej opozycji. Ów wielki przełom dokonał się w sposób pokojowy, zgodnie z ideą samoograniczającej się rewolucji. Fakt ten wpłynął w znaczącym stopniu na charakter i tempo dokonujących się w Polsce zmian, przyczyniając się zarówno do podejmowania szybkich decyzji w pewnych dziedzinach życia, jak i opóźnień czy zaniechań w innych sferach.

Wybory nie rozstrzygnęły wszystkiego, rozpoczęły jedynie mozolny proces pełnej demokratyzacji systemu i zdobywania władzy przez zwycięzców wyborów. Wspomnijmy jedynie kompromis co do listy krajowej, umożliwienie wyboru Wojciecha Jaruzelskiego na prezydenta, niepowodzenie misji Czesława Kiszczaka, hasło „Wasz prezydent, nasz premier”, sojusz Solidarności z PSL i SD, powstanie rządu Tadeusza Mazowieckiego, stopniowe usuwanie komunistycznych ministrów z resortów siłowych.

Niezależnie od niepewnej sytuacji zewnętrznej i oporu wewnętrznych zwolenników dawnego systemu kierunek rozpoczętego w Polsce procesu zmian nie był bynajmniej przesadzony. Składające się z robotników i intelektualistów przywództwo „Solidarności”, podobnie jak członkowie opozycji demokratycznej w innych krajach bloku, walcząc przeciw komunistycznej dyktaturze, miało pewną wizję nowego, demokratycznego społeczeństwa, wizję opartą na pewnych ideałach, w istocie bardzo trudnych do spełnienia i będących w znacznej mierze iluzjami. Wymienić można przynajmniej trzy takie dość powszechnie żywione iluzje: (1) prawdziwa demokracja może opierać się na zasadach etycznych; (2) społeczeństwo obywatelskie może sprawować władzę; (3) kwestie ekonomiczne można wziąć w nawias, a także iluzję czwartą, żywioną przez część intelektualistów, którzy wierzyli, że to właśnie intelektualiści mogą odgrywać dominującą rolę w życiu społecznym.

Zaraz po wyborach stało się oczywiste, że ekonomia wcale „nie da się wziąć w nawias”. Tymczasem, o ile polityczne ideały „Solidarności” były jasne, o tyle gospodarcze idee opozycji demokratycznej z początku lat 80. były dość ogólne, miejscami naiwne i nie do końca spójne. Zmiany gospodarcze zaczęły się dopiero w 1990 r. wraz z wprowadzeniem reform Leszka Balcerowicza. Kapitalizm wprowadzono w Polsce jako „odgórny projekt demokratyczny”, realizowany przez reformatorskie elity gospodarcze. Badania socjologiczne pokazywały wyraźnie, że politycy wszystkich opcji Sejmu kontraktowego z lat 1989-1991 mieli ogólnie poglądy bardziej wolnorynkowe niż większość społeczeństwa. Gospodarczy reformatorzy mieli przekonanie, że reprezentują „interes teoretyczny”, czyli długofalowy interes całości społeczeństwa.

W momencie rozpoczynania szokowej terapii gospodarczej konieczność dokonania zmian uznawali wszyscy czy prawie wszyscy, ale przede wszystkim ze względu na zaufanie do nowej władzy, zdecydowane odrzucenie poprzedniego systemu i fascynację sukcesami rozwiniętych krajów kapitalistycznych. Jednakże szybko okazało się, że owe niezbędne reformy ekonomiczne uderzały w krótkofalowe i partykularne interesy (a także mentalne przyzwyczajenia) wielu grup społecznych, przede wszystkim robotników wielkoprzemysłowych i rolników. Polski paradoks polegał przy tym na tym, że reformy wprowadzające liberalną wersję kapitalizmu dokonywały się pod parasolem związku zawodowego i jego przywódcy Lecha Wałęsy. W efekcie Polacy, którzy w latach 80.

chcieli demokracji i poprawy sytuacji gospodarczej, po 1989 r. znaleźli się w kapitalizmie.

W pierwszej połowie lat 90. w Polsce, tak jak w innych krajach postkomunistycznych, wystąpił ten sam podstawowy strukturalny problem transformacji: jak przejść przez „dolinę łez”, czyli nieunikniony okres spadku produkcji i stopy życiowej, cięć socjalnych oraz wzrostu zróżnicowania społecznego i wejść na ścieżkę wzrostu gospodarczego, wytwarzając bazę społeczną nowego systemu (tzn. ludzi wiążących swoje interesy z nowym systemem), zanim nie wyczerpie się społeczna cierpliwość i nie zdobędą przewagi przeciwnicy reform.

Poziom społecznych nierówności w Polsce, mierzony na przykład wskaźnikiem Giniego (gdzie 0 oznacza brak nierówności, a 1 ich maksimum) rzeczywiście wzrósł i wynosi dziś w Polsce 0,35, a więc jest wyższy niż w Niemczech (0,28) i Francji (0,33), ale niższy niż np. w Wielkiej Brytanii (0,36), Rosji (0,40), USA (0,41), Meksyku (0,50) czy Brazylii (0,60). Poza tym statystycznie nieproporcjonalnie duża część osób odnoszących sukces w kapitalistycznej gospodarce wywodzi się z pretorianów dawnego systemu, co określa się zwykle uwłaszczeniem nomenklatury albo konwersją kapitału politycznego (tzn. sieci odpowiednich informacji, znajomości i kontaktów w starym systemie) w kapitał ekonomiczny.

Spółceństwu polskiemu jako całości udało się jednak – mimo wszystkich problemów – przez dolinę łez przejść stosunkowo szybko i każdego roku wydatnie zwiększać dochód narodowy.

* * *

Drugim podstawowym problemem transformacji była „polityka pamięci”, czyli kwestia rozliczania komunistycznej przeszłości. Kształt tej polityki pamięci był w Polsce wyznaczony zarówno umową zawartą przy Okrągłym Stole, jak i późniejszymi zawirowaniami na scenie politycznej. Polska polityka pamięci, sposób traktowania zbrodniarzy, kolaborantów i ofiar komunistycznego reżimu była zmienna i niekonsekwentna, stanowiąc mieszankę poszukiwania prawdy, wymierzania sprawiedliwości, wyrównywania krzywd, pojednania i przebaczenia, politycznego pragmatyzmu oraz politycznych rozgrywek i manipulacji.

Oczywiste jest, że rozliczenie przeszłości nie było możliwe ani zaraz po 4 czerwca, ani w pierwszych miesiącach funkcjonowania pierwszego solidarnościowego rządu. Wydaje się jednak, że nie wykorzystano kolejnych pojawiających się okazji, albo przez błąd zaniechania (np. po „wyprowadzeniu sztandaru” i rozwiązaniu PZPR w styczniu 1990 r.), albo przez radykalne próby lustracji nierozliczające rzeczywistych sprawców, a wykorzystujące listy tajnych agentów do walki politycznej w obrębie ruchu solidarnościowego (czerwiec 1992). Z powodu podziałów w dawnej opozycji funkcjonariusze poprzedniego systemu bardzo szybko, bo już w 1993 r., powrócili do władzy, a przez cały czas okupowali wiele urzędów średniego szczebla, co pozwoliło im na rozmycie bądź zablokowanie bardziej zdecydowanych działań rozliczeniowych. Widać to było zwłaszcza w funkcjonowaniu polskiego wymiaru

sprawiedliwości, znanego z przewlekłości i nieskuteczności swoich procedur oraz niepotrafiącego osądzić i ukarać nawet najbardziej oczywistych zbrodni komunistycznych. Zbrodniarze stanu wojennego, zlecniodawcy morderstwa księdza Jerzego Popiełuszki, sprawcy wielu innych porwań i zabójstw nie zostali wykryci i nadal pozostają bezkarni. W efekcie społeczeństwo polskie nie doczekało się ani rzeczywistego ukarania zbrodniarzy, ani dekomunizacji, ani autentycznej lustracji, ani też – jako jedyne w całym bloku – restytucji własności (reprzywatyzacji).

W tej sytuacji stosunek do przeszłości stał się drugim (obok kwestii ekonomiczno-socjalnych) istotnym elementem politycznej rywalizacji: jedni wykorzystywali postkomunistyczną nostalgię do zdobycia wyborczego poparcia, innym wystarczała krytyka przeszłości, a w szczególności komunistycznej wizji historii, dla innych wreszcie pamięć o komunistycznych zbrodniach i wyrównywanie krzywd i niesprawiedliwości stało się główną racją istnienia.

Napięcia ekonomiczne i brak całościowego rozliczenia przeszłości wywołały podziały w łonie obozu solidarnościowego, zaczęły się pojawiać nawoływania do „prawdziwej rewolucji” i socjalnej, i rozliczeniowej, co spowodowało upadek dwóch przynajmniej rządów solidarnościowych.

* * *

Wymienić też można trzecią podstawową słabość polskiej demokracji, słabość ujawniającą się mniej na początku systemowej transformacji, a coraz silniej w latach ostatnich. Jest nią słabość debaty publicznej.

Wydaje się, że najbardziej autentyczna debata polityczna toczyła się w sejmie kontraktowym, którego członkowie mieli poczucie wspólnego budowania czegoś nowego, realizacji „interesu teoretycznego”. Potem z kadencji na kadencję było chyba coraz gorzej. Są dwie główne przyczyny tego stanu rzeczy.

Przyczyną pierwszą jest medializacja polityki. Debata publiczna toczy się głównie w mediach, a zwłaszcza w telewizyjnych potyczkach „gadających głów” w trakcie wielogodzinnych programów informacyjno-dyskusyjnych. Prowadzący dyskusje dziennikarze wręcz „napuszczają” na siebie dyskutantów, chodzi im o wywołanie ostrej dyskusji, konfliktu, sporu, doprowadzenie do wymiany mniej lub bardziej błyskotliwych i mniej lub bardziej eleganckich bon motów czy nawet inwektyw. Nie ma tam ani czasu, ani miejsca na autentyczną dyskusję i wymianę rzeczowych argumentów. Rzeczywisty dialog publiczny toczy się jedynie w niektórych ambitniejszych czasopismach.

Przyczyną drugą jest ideologizacja polityki. Coraz mniej spraw traktowanych jest (jakby powiedział amerykański socjolog Lewis Coser) jako konflikt realistyczny, w którym chodzi o rozwiązanie konkretnego problemu (np. wysokości podatku), a coraz więcej staje się konfliktami nierealistycznymi, przy których wyraża się głównie „zgeneralizowaną wrogość” do drugiej strony. Problemy ekonomiczne, np. „pomostówki” czy pomoc dla stoczni, są traktowane jako kwestie ideologiczne, a kanon lektur szkolnych czy handel gazem z Rosją rozpatrywany jest niemal w kategoriach zdrady narodowej. Prowadzi to do dalszej polaryzacji sceny politycznej i bardzo utrudnia poszukiwanie rozwiązań kompromisowych.

Słabość debaty publicznej dotyczy nie tylko polityków. Także i polskie społeczeństwo obywatelskie jest bardziej sceną protestów niż wspólną konstruktywnego oddolnego dialogu i działania. Obywatelska aktywność dotyczy najczęściej partykularnych ekonomiczno-socjalnych interesów poszczególnych środowisk zawodowych (np. górników) czy też kwestii czysto lokalnych zgodnie z syndromem NIMB („Nnot in my backyard” – „droga tak, ale nie koło mojego podwórka”). Debaty i protesty znacznie rzadziej dotyczą natomiast kwestii ogólniejszych, ogólnonarodowych. Choć większość społeczeństwa polskiego przeciwna była np. uczestnictwu polskich żołnierzy w interwencji w Iraku, nie prowadziło to do żadnych większych akcji protestacyjnych, podobnych do tych, które miały miejsce w USA czy Wielkiej Brytanii. Prywatnie Polacy często wyrażają swoje niezadowolenie, niezbyt chętnie natomiast angażują się w zbiorowe debaty i działania publicznie. Polskie społeczeństwo obywatelskie funkcjonuje raczej jako słabo rozwinięta mozaika rozproszonych protestów grupowych, walczących o partykularne interesy, niż jako zatroskana o dobro Rzeczypospolitej ogólnoobywatelska wspólnota demokratycznego dialogu i uczestnictwa.

* * *

Niezależnie od wszystkich wymienionych wyżej, a także innych słabości, całe ostatnie dwadzieścia lat jest w moim głębokim przekonaniu generalnie olbrzymim sukcesem. Podkreślić trzeba przede wszystkim, że podjęte wbrew odczuciom większości społeczeństwa decyzje wprowadzające liberalny system rynkowy w gospodarce okazały się już po kilku latach – mimo wszystkich swych niepożądanych efektów ubocznych – korzystne dla całego społeczeństwa, dla „dobra wspólnego”. Nie chodzi tylko o poprawiający się szybko średni poziom życia, chodzi o zaopatrzenie i ułatwienia w życiu codziennym, nie mówiąc już o swobodach politycznych, otwartych granicach i pełnej niepodległości kraju. Sytuacja Polski zmieniła się na coraz lepszą, także dzięki wstąpieniu najpierw do NATO, a potem do Unii Europejskiej. Całe społeczeństwo, a w tym nawet początkowo najbardziej eurosceptyczni rolnicy, odczuli pozytywne efekty europejskich subwencji. W Polsce ciągle istnieje uzasadnione poczucie socjalnych niesprawiedliwości i zwyczajny roszczeniowy populizm, nie jest to jednak populizm antyeuropejski. Społeczeństwo polskie jako całość zaakceptowało demokrację (której jedynie pierwszą, ułomną postać wprowadziliśmy w wyniku wyborów w 1989 r.) i kapitalistyczny system rynkowy (o którym przy wyborach nikt prawie nikt jeszcze nie myślał). Olbrzymim sukcesem jest także rozwój samorządności, rozpoczęty przygotowywaną już od 1989 r. wielką reformą samorządową, oddającą wspólnotom lokalnym decydowanie o ich „małych ojczyznach”. To wszystko jest następstwem wyborów 4 czerwca.

* * *

Warto też spojrzeć na 4 Czerwca z nieco szerszej perspektywy. Stary system funkcjonował coraz gorzej i nie dawał szans na poprawę sytuacji, toteż w długofalowym interesie nas wszystkich, w interesie całego społeczeństwa, leżała jego zmiana.

W historii Europy były trzy autentyczne oddolne i spontaniczne rewolucje, które w konsekwencji zmieniły cały system społeczny, a nie tylko system władzy politycznej. Były to rewolucje: francuska, bolszewicka – październikowa i polska – solidarnościowa. Dwie z nich, francuska i polska, doprowadziły na pewno do wielu zmian pozytywnych. Ale wiadomo, że rewolucje mają i swoje skutki negatywne – zwykle „pożerają” swoje własne dzieci. Wiemy, co stało się z żyrondistami, a potem z jakobinami we Francji, nie mówiąc o bolszewikach ginących w czasie czystek Jeżowa i Berii. W Polsce też są rozczarowania. Łatwiej było walczyć razem przeciw staremu, niż budować wspólnie coś nowego – bo wtedy wychodzą na jaw różnice i wartości i interesów. Dwie klasy, które w Sierpniu 1981 i ostatecznie 4 czerwca 1989 r. zburzyły stary system – inteligencja budżetowa, a zwłaszcza robotnicy wielkoprzemysłowi, często nowym systemie natrafiają na wiele fundamentalnych, bytowych problemów. Nie ma jednak wątpliwości, że pod względem stosunku kosztów do rezultatów bilans polskiej bezkrwawej rewolucji jest najkorzystniejszy. We Francji osiągnięto więcej, ale krew lała się strumieniami i jest wiele rzeczy, o których francuski mieszczanin świętujący 14 Lipca woli nie pamiętać. W Rosji ostatecznie były to głównie cierpienie i strumienie krwi. W Polsce – mimo licznych problemów związanych z funkcjonowaniem demokratycznego kapitalizmu – jest to jednak system, który nie tylko okazał się bardziej efektywny niż realny socjalizm, ale również stworzył Polakom nowe, niewyobrażalne wcześniej możliwości i szanse.

Choć w Sierpniu i w czasie wyborów 4 czerwca były dwie strony i choć podziały zostały do dzisiaj, a nie wszystkie rachunki krzywd zostały w pełni rozliczone, to na wprowadzeniu nowego systemu skorzystali wszyscy, w tym także funkcjonariusze poprzedniej władzy. Co więcej, stare podziały, mimo że jeszcze się utrzymują, mają szanse zniknąć stosunkowo szybko. Widać to na przykład w porównaniu z Republiką Południowej Afryki, gdzie podziały rasowe starego systemu apartheidu bardzo łatwo przenoszą się na dzieci. Jeżeli natomiast występują tylko – tak jak jest w Polsce – różnice polityczne w społeczeństwie kulturowo i etnicznie prawie jednolitym, to wtedy opozycja „my–oni” z poprzedniego systemu zanika w ciągu jednego, co najwyżej dwóch pokoleń. Dzieciom poprzednich aparatczyków można ewentualnie zarzucać, że korzystają z nomenklaturowego kapitalizmu, ale już na pewno ich wnuki niczym się nie będą różnić od reszty społeczeństwa. Dzięki temu dzień 4 Czerwca może jeszcze nie dzisiaj, ale na pewno już niedługo będzie mógł być prawdziwym świętem wszystkich Polaków. Także i tych, którzy niegdyś działali po stronie solidarnościowej, a obecnie czują się rozczarowani. Powtórzyć warto raz jeszcze: wszystkim Polakom żyje się średnio znacznie lepiej niż poprzednio, a nawet tej najmniej zamożnej i borykającej się z różnymi trudnościami jednej czwartej społeczeństwa żyje się dzisiaj lepiej niż 20 lat temu.

* * *

Polskie święta narodowe to 3 Maja i 11 Listopada. Oba te święta czczą wielkie wydarzenia w polskiej narodowej historii. Wiemy jednak, że ciągu czterech lat po przyjęciu Konstytucji 3 maja 1991 r. nastąpił najpierw drugi,

a potem trzeci rozbiór Polski, a Konstytucja stała się jedynie podtrzymującym narodowego ducha symbolem wspaniałej przeszłości. Dzień odzyskania niepodległości – 11 listopada 1918 r. (choć jest to data w pewnym sensie umowna), miał znacznie donioślejsze pozytywne dla narodu konsekwencje, ale II Rzeczpospolita trwała jedynie 20 lat, do tragicznych 1 i 17 września 1939 r., przechodząc w innym czasie przez zawirowania polityczne i olbrzymi kryzys gospodarczy.

Dzień 4 czerwca 1989 r., choć jest także datą w pewnym sensie umowną, będąc jednym z członów całego łańcucha wydarzeń, rozpoczął okres budowy niepodległej Rzeczypospolitej; okres, który mimo takich czy innych słabości jest generalnie olbrzymim sukcesem, najbardziej chyba udanym okresem w historii naszej Ojczyzny od pierwszej połowy XVII w., czyli bez mała od 400 lat. Co więcej, można żywić uzasadnione nadzieje, że mimo rozmaitych trudności, a w tym obecnego światowego kryzysu gospodarczego, ten okres będzie trwał nadal.

4 czerwca 1989 r. jest niewątpliwie jednym z najważniejszych dni polskiej, ale także i europejskiej historii. Jest dniem, z którego my Polacy, wszyscy Polacy, powinniśmy być dumni. Na lasce marszałka odrodzonego w 1989 r. Senatu wyryte są właśnie te trzy daty, 3 Maja, 11 Listopada i 4 Czerwca. Ta ostatnia, 4 Czerwca, zasługuje w moim mniemaniu na to, aby i ona była świętem narodowym.

prof. dr hab. Marek Ziółkowski
Wicemarszałek Senatu RP
Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu
i Wyższa Szkoła Psychologii Społecznej w Warszawie